

KRESOWIAK GALICYJSKI

Cieszanów Horyniec Lubaczów Narol Oleszyce Stary Dzików Wielkie Oczy Nr ind 334596

Nr 1(7) kwiecień 1996 r. Lokalny magazyn informacyjno-publicystyczny Cena 50 gr (5 000 zł)

Od redakcji

Znowu tak, jak przed pięcioma laty trafia do Waszych rąk Kresowiak Galicyjski — lokalne pismo obejmujące swym zasięgiem były powiat lubaczowski. Wracamy, gdyż pole, które opuściliśmy pozostało puste, niezagospodarowane. Mimo czynionych prób i wysiłków nie udało się bowiem na naszym terenie uruchomić pisma, które przetrwałoby próbę czasu.

Tymczasem dla budowy demokracji na dole w społecznościach lokalnych niezbędne są pisma, które by integrowały ludzi, pomagały by pokonywać przeciwności i budzić dumę z osiągnięć. W USA każda nawet kilkutysięczna miejscowość ma przynajmniej jedną gazetę. „Nie ma w Polsce miasteczka, w którym mieszkałoby paru inteligentów, a które nie miało by, co najmniej jednego własnego pisma” — pisze tygodnik „Polityka”.

Wracając pozostaniemy nadal wierni marsztrucie wytyczonej na początku naszej drogi. Stąd celem naszym będzie: „Wzniesić ogień działania, wydobywać z mroku ludzi ciekawych, szlachetnych, przedsiębiorczych”. Tak jak poprzednio również i obecnie mamy ambicję być sumieniem tej ziemi, lustrem na gościńcu, tragarzem faktów obiektywnych, rzetelnie sprawdzonych i opisanych. Podejmiemy trud rehabilitacji lokalnej opinii publicznej zdolnej lansować lokalne sławy, autorytety i ludzi czynu. Ważny dla nas będzie okrucieństwo każdej biografii, sukces każdej miejscowości, przyszłość nawet rodziny”.

Podrywając się do kolejnego lotu wierzymy w sukces, w żywe wręcz ciepłe przyjęcie, w szerokie grono naszych entuzjastów i czytelników.

REDAKCJA

Radni Lubaczowa uchwalili budżet

Radni Lubaczowa uchwalili budżet na bieżący rok. Zaplanowane wydatki wynoszą 8 mln 556 zł. Z sumy tej 2 mln 569 tysięcy zł tj. 30 % ogółu zaplanowanych wydatków przeznaczonych jest na inwestycje. Do najważniejszych z nich należeć będzie odkładana od lat budowa oczyszczalni ścieków. Jej brak blokuje budowę zakładów produkcyjnych.

Do kolejnej zaplanowanej inwestycji którą już rozpoczęto, należy budowa cmentarza. Ponadto prowadzone będą prace przy kanalizacji sanitarnej i deszczowej osiedla Wyszyńskiego,

kanalizacji deszczowej i sieci wodociągowej osiedla Mazury. Uzbrajane też będzie osiedle Kurierów AK.

Dochody mają wynieść 6 mln 950 tys. zł. Niedobór planuje się pokryć nadwyżką budżetową z lat ubiegłych oraz pożyczką długoterminową na budowę oczyszczalni ścieków. Ponadto zgłoszono postulat szukania dodatkowych dochodów. Zdaniem radnych Straż Miejska winna nasilić kontrole i bardziej konsekwentnie karać za różne przewinienia.

R.S.

Społeczny Komitet Ochrony Osiedla w Oleszycach

W ubiegłym roku w Oleszycach na Osiedlu pod Kasztanami zapanowała plaga kradzieży i włamań. Spod bloków nocą skradzione zostały dwa samochody: nowy Polonez i 4-letni Ford. Włamania dokonano do sklepu GS. Nagminne stało się też płażowanie piwnic i komór.

Mieszkańcy osiedla poczuli się zagrożeni i coraz powszechniejsza stawała się opinia, że do dalszej eskalacji bezprawia nie wolno dopuścić. Z inicjatywy podkomisarza Witolda Furgały — mieszkańca tego osiedla z początkiem grudnia ub. roku doszło do zorganizowania zebrania wszystkich zainteresowanych bezpieczeństwem na osiedlu. Na zebraniu tym wybrano Komitet Ochrony Osiedla w skład którego oprócz wyżej wymienionego weszli Jacek Kopeć i Jan Michalik. Pomiędzy 60 zdeklarowanych członków Komitetu rozdzielone zostały nocne dyżury.

Dyżury te pełnione są z dużą odpowiedzialnością. Nie ma mowy o „zaspaniu” czy przedczesnym zejściu ze stanowiska. W re-

zultacie od daty ich wprowadzenia, czyli 10 grudnia ub. roku nie odnotowano na osiedlu włamań ani kradzieży. Mieszkańcy poczuli się bezpieczniej.

Ale sukces stał się też przyczyną pewnego rozprężenia wśród członków Komitetu. Pojawili się bowiem opinie, że skoro włamania i kradzieże niemal całkowicie znikły należy przypuszczać, że złodzieje przenieśli się w inne rewiry i dyżury są już zbędne. Głosiciele takich poglądów zapominają tylko o tym, że być może właśnie nocne dyżury odstraszały złodziejasków od kolejnych akcji, a po ich zaniechaniu mogą z powrotem wejść na ten teren.

Kierownictwo Samorządu widzi inny problem. Dyżurujący nie dysponują żadnymi środkami. Stąd też w przypadku zorganizowanej akcji przez złodziei mogliby się poczuć bezbronni. Stąd też celowe byłoby wyposażenie Komitetu w środek łączności wewnętrznie w broń.

M.W.

Zagraj mi piękny cyganie!

Rejon lubaczowski jest wyjątkowo ubogi w muzyków. Nie ma tutaj kapel, orkiestr a zespoły muzyczne, które tu są idą po najmniejszej linii oporu. W ich składzie bowiem królują gitary elektryczne, perkusja, a więc instrumenty, które np. w porównaniu z akordeonem nie wymagają lat nauki i treningu.

Z tych powodów wiele imprez, świąt państwowych obsługiwanych jest przez zespoły muzyczne z byłych ościennych powiatów, a nawet województw. Na dożynki w Dzikowie w 1994 roku przybyła kapela podwórkowa z Przeworska.

Święto Ludowe w Lubaczowie obsługiwała orkiestra z Przemyśla, a Dni Cieszanowa uprzyjemniała orkiestra wojskowa aż z Rzeszowa.

Oczywiście nie w tym nagannego, że zespoły artystyczne z innych miejscowości prezentują się na naszym terenie. Wielka to frajda dla wykonawców i przeżycie dla publiczności nie lada. Efekt byłby jeszcze większy, gdyby gościnne występy mobilizowały miejscowych muzyków do zawyżenia lotów. A tymczasem oni są obojętni i wciąż minimalizują swoje aspiracje. Na wojewódzkim przeglądzie Kapel i Zespołów Śpiewaczych

w Dynowie (18 V 1995 r.) laureatami byli muzycy i śpiewacy z Gaci, Bachorza, Rudalowie, Wiązownicy, ale z rejonu lubaczowskiego wśród nagrodzonych nie znalazł się ani jeden.

W tym względzie warto brać przykład od sąsiadów. W województwie krośnieńskim dosłownie nie ma gminy na terenie, której nie byłoby przynajmniej jednego zespołu artystycznego! A wieś Haczów dysponuje kapelą, zespołem pieśni i tańca, orkiestrą strażacką, chórem. W Kolbuszowie przy Miejskim Domu Kultury działają aż dwa zespoły folklorystyczne. Jest też kapela ludowa i podwórkowa. A na ziemi lubaczowskiej posucha!

(Ciąg dalszy na str. 2)

Zagraj mi piękny Cyganie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Gdy powyższy zarzut postawiłem miejscowym muzykom gwałtownie zaprotestowali. Ich koronnymi argumentami były słowa: „Trzeba iść z duchem czasu. Skrzypce i akordeon to już dla dziadków na weselach w Koziej Wólce”. I dodają: „Wystarczy popatrzeć i posłuchać jaka muzyka króluje na imprezach młodzieżowych i taśmy z jakimi nagraniami sprzedawane są w największych ilościach”. W tej argumentacji jest to tylko część racji. Odbiorcami muzyki nie jest tylko sama młodzież.

Oto obrazki z dwóch wesel w Chotylibiu: Na weselu gra młodzieżowy zespół muzyczny z Lublińca. Słychać tylko huk gitar elektrycznych. O jakiegokolwiek rozmowie przy stołach — chociaż tańce odbywają się w sąsiedniej sali — nie ma mowy. Stąd goście czas uprzyjemniają sobie wzmocnionym pić wódki. Na tańce wychodzi tylko młodzież. Weselnicy w średnim wieku, nie mówiąc o starych w zasadzie się nie bawią, bo to muzyka nie dla nich.

I drugie wesele: Gra zespół w tradycyjnym składzie. Jest gitara elektryczna, ale jest i akordeon. Jest też solista, któremu śpiewem wtórują weselnicy. Na przemian leci „Głęboka studzienka”, „Zagraj mi piękny cyganie”, ale też najbardziej popularne szlagiery ostatnich lat, a nawet miesięcy. Słowem dla każdego coś milego. Za stołami pustawo. Dość obszerna podłoga nie jest w stanie pomieścić wszystkich chętnych do zabawy. Stąd też goście tańczą na trawie a nawet na asfaltowej jezdni w pobliżu domu!

Ale takich orkiestr, które na weselu potrafią wszystkich gości poderwać do tańca coraz trudniej spotkać. Kiedyś muzycy tworzyli elitę artystyczną wsi i małych miasteczek. Byli wszechstronni i potrafili grać na każdym in-

strumencie. Swoimi umiejętnościami wzbudza- li podziw i uznanie otoczenia. Poprzez umiejęt- ności gry, wydobywania z instrumentów mu- zycznych niezwykłych wręcz tonów i dźwię- ków oddziaływali na słuchaczy aż do utraty przytomności. Byli to samoucy, ale stale się ucząc zdobywali ogromną wiedzę, której strze- gli jak jakiegoś skarbu.

Dziś weselny repertuar bywa ograniczony, bo wąskie są umiejętności muzyków. „Podszed- dłem na wesele do grających — relacjonuje znajomy — z prośbą, aby mi zagrali La Palome. Zapewnili, że to uczynią. Ale czas mijał i nic z obiecanek. Gdy powtórnie je upomnia- łem szef zespołu odparł, że poza nim nikt tej melodii nie potrafi zagrać!”

Obok ograniczonego repertuaru mamy „mocne uderzenie”. „Gdy przychodzi do mnie młodzi muzycy — mówi właściciel skle- pu w Lubaczowie — to pytają zazwyczaj o wzmacniacze najwyższej mocy, które będą w stanie zapewnić maksymalne nagłośnienie w trakcie występów. Pół biedy, gdy zabawy czy wesela odbywają się w plenerze, na wol- nym powietrzu. Gorzej, gdy mają one miejsce w pomieszczeniach zamkniętych. Wówczas od huku uszy puchną.

Minimalizowanie aspiracji ze strony muzy- ków jest zjawiskiem niepokojącym, tym bar- dziej, że mamy w Lubaczowie szkołę muzycz- ną i wysoko kwalifikowaną kadrę. Własne ze- społy muzyczne, na odpowiednim poziomie to szansa na ożywienie życia kulturalnego, to rów- nież promocja, popularyzacja rejonu lubaczow- skiego w województwie, kraju, a nawet za granicą. Ambicją więc placówek kulturalnych, jak też władz gminnych winno być, aby na swoim terenie posiadał chociaż jeden zespół muzyczny, orkiestrę — kapelę z prawdziwego zdarzenia.

Marian Ważny

Biesiada teatralna w Horyńcu

W Horyńcu odbyła się już XVII Biesiada Tea- tralna — konfrontacja małych form. Mimo tward- zimy, mrozów przybyło 14 zespołów z całej P- ski. Nagrodę indywidualną „Złota Misa Borowi- ny” zdobył Tomasz Brzeziński z Łomży za stwo- rzenie i reżyserię teatru Siwiny II. I nagroda ze- społowa „Złoty Róg Myśliwski Króla Jana” przy- padła grupie artystycznej z Katowic za program „Chryzostoma Plwicia podróż do Ciemnogrodu”. W kategorii jednego aktora zwyciężył Janusz Sto- larski z Poznania za monodram „Zemsta Czerwo- nych Bucuków”.

Szereg nagród zdobyła Grupa Teatralna „Gar- deroba” z naszego województwa prowadzona przez Barbarę Płocię. Ona sama nagrodzona zo- stała „Srebrną Misą”, a zespół „Brązowym Ro- giem”.

RS

Nowy rezerwat w gminie Narol

Z nowym 1996 rokiem na terenie gminy Na- rol powstał rezerwat przyrody „Minokąt”. Obe- jmuje ona 23,47 ha lasów Madleśnictwa Narol w rejonie Kadłubisk. Celem rezerwatu jest zacho- wanie lasu jodłowo-bukowego z charakterystycz- nym runem buczyny karpackiej.

W Szkole Podstawowej Nr 2 w Lubaczow- wie odbył się pelen atrakcji bal karnawałowy. W trakcie balu miała miejsce aukcja obrazów lubaczowskich twórców Janusza Szpyta, Jerze- go Pluchy, Józefa Dobrowolskiego i Witolda Korapty. Większość prac została wykupiona przede wszystkim przez obecnych na balu biz- nesmenów z Lubaczowa. Dochód z imprezy i aukcji zasilił budżet szkoły.

A.S.

NA ŚLUBNYM KOBIERCU

Rozmowa z kierownikiem USC w Lubaczowie — Elżbietą Sobczak

M.W.: Ile połączyła Pani par w 1995 roku?

E.S.: W minionym roku USC udzielił 63 ślubu parom z miasta i 52 z terenu gminy Lubaczów. Jest to w porównaniu np. z rokiem 1986 w czasie, którego zawarto 172 śluby wyraźny spadek. Zazwyczaj pan młody jest o 5-6 lat starszy od swo- jej partnerki. Bywają chociaż rzad- ko sytuacje odwrotne. W ostatnich kilku latach mieliśmy śluby, gdzie partnerka była o 10-12 lat starsza od partnera, a w jednym przypadku nawet o 17 lat. Obserwujemy ten- dencję do zawierania ślubów w co- raz młodszym wieku. Najczęstszą przyczyną jest ciąża dziewczyny. Dotyczy to kobiet mających nieraz tylko 16 lat! W takiej sytuacji dla uniknięcia skandalu rodzice czym prędzej doprowadzają do wesela. Stosunkowo rzadkim zjawiskiem były śluby ludzi w starszym wieku. W ubiegłym roku udzieliliśmy ślu- bu parze w której tak mężczyzna

jak i kobieta mieli powyżej 60 lat (70 i 68).

M.W.: Jaki zazwyczaj nastrój towarzyszy parom w chwili zawie- rania związku małżeńskiego?

E.S.: Dla młodych chwila zawar- cia ślubu jest dużym przeżyciem. Pary przychodzą odświętnie ubrane. Młodzi są wzruszeni i stremowani zarazem. Bywa i tak, że z przejęcia z trudem wypowiadają słowa. A nowożeńcy Świadkowie Jehowy przychodzą z „własną oprawą muzyczną”.

M.W.: Czy udzielała Pani ślu- bów parom w których jedna ze stron była obcokrajowcem?

E.S.: Mimo licznych wyjazdów lubaczowian w świat nie odnotowa- liśmy takich przypadków. Nie zna- czy to jednak, że ślubów z obco- krajowcami nie ma. Związki takie zawierane są za granicą, a nie u nas w USC. My tylko w takiej sytuacji wydajemy zaświadczenie o zdolno- ści prawnej do zawarcia małżeń- stwa. W ubiegłym roku wydaliśmy

15 takich dokumentów. Związkowi z obcokrajowcem, którym najczę- ściej jest mężczyzna dość często to- warzyszy komentarz „wysła za ta- tusia”. Dzieje się tak, ponieważ partner bywa dużo starszy od partne- rki.

M.W.: Podobno nowożeńcy co- raz częściej rezygnują z zawierania ślubu w USC?

E.S.: Faktycznie nasila się prak- tyka zawierania związku małżeń- skiego tylko w kościele. Dzieje się tak dlatego ponieważ kobieta rodzą- ca dziecko ma zachowany zasilek. Bezrobotne matki, a takich na na- szym terenie jest wyjątkowo dużo, aby zachować zasilek wolą poprze- stawać na ślubie kościelnym. Z tych też powodów nawet małżeństwa, które się rozwiodły i po latach po- wtórnie się zeszły nie biorą ślubu i żyją na „kocią łapę”.

R.S.: Czy są pory roku w któ- rych liczba małżeństw wzrasta?

E.S.: Najwięcej związków mał-

żeńskich zawieranych jest w czasie urlopów i na wakacjach i w okre- sach przedświątecznych. Rośnie też liczba ślubów w ostatnich dniach roku. Dotyczy to najczęściej dzieci rodziców inicjatywy prywatnej, któ- rzy w ten sposób „uciekają” przed kosztami.

R.S.: Owocem małżeństw są dzieci!

E.S.: W 1995 roku w Lubaczow- wie urodziło się 639 dzieci. Najbar- dziej popularne imiona nadawane dzieciom to Dawid i Mateusz, a u Świadków Jehowy Natan, Teo. Zauważalny jest wyraźny spadek urodzin. Dla porównania w 1990 ro- ku urodziło się 1020 dzieci. Obecnie małżeństwa najczęściej decydują się na dwójkę. Ale i nie brak w tyr- względnie rekordzistów. Jednem- małżeństwu w ub. roku urodziło się jedenaste z kolei dziecko! Jest też małżeństwo, które 5 lat temu wzięło ślub a już ma pięć pociech.

Marek Wrzos

Folwarki — mała wioska obramowana lasami nieopodal Cieszanowa. Nie do wiary, że to właśnie tutaj, pół wieku temu urzędował ze swoimi ludźmi człowiek, który siał strach i trząsł całym powiatem. Bali się go wszyscy: czerwoni i Ak-owcy, jego podwładni jak też zwierzchnicy. Tylko niespełna rok był zastępcą komendanta powiatowego MO w Lubaczowie i szefem posterunku na Folwarkach, ale to wystarczyło, aby wpisać się w zbiorową pamięć kolejnych pokoleń, a nawet przejść do legendy.

— ZAGAJ —

Ilu ludzi z jego rozkazu rozstrzelano nie sposób dokładnie powiedzieć. Relacje tutaj rozbieżne. Bez trudu można doliczyć się co najmniej dwudziestu. Ale wielu twierdzi, że liczba jego ofiar sięga nawet powyżej setki! On sam będąc po większej dawce bimbrowa miał zwyczaj chwalić się, że z przeciwników których kazał „załatwić” byłaby pełna kompania wojska. Tylko nieliczne jego ofiary jak np. **Mieczysława Białozorskiego** spoczywają na cmentarzach. Większość na egzekucje wyprowadzana była do lasu i tam po rozstrzelaniu zakopywano ich w be-
— niennych grobach.

Kim był Zagaj? Dowódcą owładniętym pasją zabijania, szaleńcem, czy bojownikiem wierzącym, że walcząc, likwidując ludzi, którzy wypowiedzieli się po stronie nowej władzy buduje sobie pomnik! Właściwie nie wiadomo skąd przyszedł i gdzie — chociaż wykonano na niego wyrok — znajdują się jego szczątki.

Wiek 24-letni mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu z bródką, w niemieckim mundurze i z automatem na piersiach oraz młoda atrakcyjna dziewczyna obok. Dość często widywano ich razem. To na przejażdżkach konnych, to na wozie zaprzężonym w parę siwek, to na weselach, przyjęciach. O podobnych niemu napisano książki, nakręcono filmy, nawet seriale, a o Zagaju cisza od półwiecza, żadnych publikacji, wspomnień, ani nawet zdawkowych danych. Cisza, gdyż pisać o nim to tyle co wywoływać upióry przeszłości, to — jak twierdzą żyjący świadkowie tamtych wydarzeń — byłoby rozdrapywaniem na nowo dawno już zagojonych ran. Po co wracać do tamtych koszmarnych miesięcy — twierdzą — duch Zagaja ciągle krąży w tych stronach. To może znowu zasiać nienawiść i podzielić liskich sobie ludzi.

Ale czy mamy puścić w niepamięć ten fragment naszej lokalnej historii? Czy mamy pozwolić, aby ostatni żyjący świadkowie tamtych wydarzeń zabrali tajemnicę do grobu? Już teraz w miarę upływu

lat, coraz trudniej rozdzielić prawdę od legendy, fakty od przesiewanych latami wspomnień. W imię więc prawdy historycznej najwyższy czas, aby przerwać milczenie i podjąć próbę napisania biografii tego groźnego watałki. Jest to tym konieczniejsze, że wielu jego podkomendnych nie splamiło sobie rąk krwią i ma prawo mieć absolutnie czyste sumienie.

Nie jest to jednak zadanie łatwe. Tamta rzeczywistość z przed półwiecza jest mroczna i pełna zakamarków. Dziś łatwo jest wydawać wyroki, mówić po

czyjej stronie była wówczas racja. Ale należy pamiętać, że ludzie uwikłani w tamte wydarzenia działali w pewnym sensie po omacku. Pierwsze miesiące, a nawet lata po przejściu frontu tworzyły mętlik pojęciowy. Wówczas nie brzdą było wiadomo gdzie wróg, a gdzie przyjaciel, gdzie kończy się służba ojczyźnie, a gdzie zaczyna się z nią walka. Nie bardzo było wiadomo za kim iść, kogo słuchać. Wieści ze świata były skąpe i sprzeczne zarazem. Wciąż człowiek stał na rozstajnych drogach, a każdy wybór wiązał się z ryzykiem, którego stawką było własne życie. To tylko w czasie okupacji był wspólny wróg. Walka z nim, stosunek do niego jednoznacznie określał postawę ludzi. Ale latem 1944 roku — jak mówi jeden z uczestników tamtych wydarzeń — nastąpił zwariowany czas. Przed młodymi chłopakami w tymi żołnierzami AK stanął dylemat: być wiernym przysiędze i słuchać nadal dowódców czy włączyć się do odbudowy nowego państwa. Wówczas agitowano za pokojem i za walką, za zabijaniem i pracą. Wybory nie były łatwe, za każdym z nich szła często śmierć.

Ten odległy czas miał w sobie coś z westernu. Człowiekiem rządził strach, a rozkaz zastępował sumienie. W tych warunkach respekt i posłuch budziły jednostki silne, odważne zaprawione w wojennym rzemiośle. Byli nimi najczęściej wczorajsi dowódcy oddziałów partyzanckich. Im zawierzano i ich racje przyjmowano za słusne chociaż droga, którą szli prowadziła w przepaść. Nie brakowało też i takich jednostek, które posmakowały w wojennym rzemiośle i za wszelką cenę, mimo, że już przeszedł front usiłowali przedłużyć toczoną walkę. Czasy pokoju są okrutne dla wczorajszych bohaterów. Ich umiejętności w nowych realiach stają się bezużyteczne. Przytoczone uwarunkowania pozwolą przyjąć taryfę ulgową i lepiej zrozumieć motyw działania, postawę Zagaja i jego ludzi.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

W skali województwa, a nawet całego regionu w rejonie lubaczowskim mamy wręcz rekordowe bezrobocie. Na koniec bowiem 1995 roku w Rejonowym Urzędzie Pracy w Lubaczowie zarejestrowanych było 7 tysięcy bezrobotnych. W tej liczbie aż 3380 stanowiły kobiety. Natomiast około 2000 bezrobotnych mężczyzn i tyleż kobiet pozbawionych było prawa do zasiłku.

Na wysoki stan bezrobocia złożyło się szereg przyczyn. Powiat lubaczowski nie należał do terenów uprzemysłowionych, dlatego też pracę dawały nieliczne zakłady jak POM w Dachnowie, Filia Huty Stalowa Wola, Zakłady Wyróbów Galanteryjnych, które padły wraz ze zmianą ustroju w Polsce. Na dodatek szereg bezrobotnych zasilają też znacznie kadra PGR, których na terenie powiatu było wyjątkowo dużo.

Oto jak wyglądał stan bezrobocia w rejonie lubaczowskim z końcem ub. roku w rozbiu na poszczególne miasta i gminy:

Lubaczów — miasto: 1408

Cieszanów — miasto 261

Oleszyce — 436

Gminy: Lubaczów — 1117, Cieszanów — 756, Oleszyce — 378, Narol — 943, Horyniec — 624, Stary Dzików — 348, Wielkie Oczy 502.

Bezrobocie w rejonie lubaczowskim

Rozmiary zjawiska bezrobocia przekraczają możliwości uporania się z nim Urzędów Gmin jak też Rejonowego Urzędu Pracy. Niemniej jednak miejscowe władze podejmują szereg działań, aby skutki bezrobocia łagodzić. W marcu 1995 roku w zabudowaniach POM w Dachnowie rozpoczęła działalność fabryka mebli. W tym celu RUP w Lubaczowie przeszkolił 50 tapicerów. Zakład ten już w tej chwili zatrudnia prawie 100 pracowników. Z kolei w nowootwartym przejściu granicznym w Werchracie zostało zatrudnionych 150 pracowników. Część bezrobotnych zatrudnianych jest w ramach prac interwencyjnych i robót publicznych przez Urzędy Gminy. Przeniesienia te nie rozwiązują jednak problemu, tym bardziej, że kadry bezrobotnych co roku zasilają absolwenci szkół. I tak na koniec listopada ub. roku zarejestrowanych było aż 500 absolwentów. Ciekawie przedstawia się ta liczba w rozbiu na rodzaje szkół:

Liceum Ogólnokształcące — 70

Szkoły policealne i średnie zawodowe — 195

Zasadnicze Szkoły Zawodowe — 221

Wyższe — 13

Jak widać najmniej bezrobotnych mamy z wykształceniem wyższym, a najwięcej po zasadniczym.

Trzeba przyznać, że liczba bezrobotnych jest nieco zawyżona. Wśród zarejestrowanych bezrobotnych jest bowiem wielu rolników posiadających gospodarstwa. Zdaniem dyrektora RUP p. **Zbigniewa Markiewicza**, wśród bezrobotnych występuje słaba motywacja do samodzielnej aktywności w poszukiwaniu pracy. Tylko niewielu z nich decyduje się na podejmowanie działalności gospodarczej. Jeszcze większa awersja utrzymuje się do działań zespołowych.

Wciąż zbyt mało zgłoszeń jest na pracowników ze strony firm prywatnych. Kiedyś pracę znajdowano poza rejonem lubaczowskim, a dzisiaj niestety ofert pracy z terenu innych województw nie ma prawie wcale.

R. Strzelecki

Miasto budzi się ze snu. Pierwszymi zwiastunami wrzeźniowego dnia są właściciele krów, którzy na wózkach, rowerach, motocyklach, nawet samochodami taszcza do zlewni mleko. Wraz z nimi pojawiają się obładowane bankami furmanki z pobliskich wsi. Poranną ciszę zakłóca ich tarabanie i stukot kopyt koni o asfalt. Wkrótce na ulice wkraczają krowy. Pędzone luzem i na łańcuchach głośnym porykiwaniem kładąc rogi na grzbiecie pozdrawiają się nawzajem. Po przemarszu żywicieli miasto ogarnia cisza przerywana hukami przejeżdżających samochodów.

Rozlega się melodyjny głos dzwonu wzywający wiernych na modlitwę. Ale na „siódmkę” udają się przede wszystkim starsi mieszkańcy Cieszanowa. Największą popularnością cieszy się msza o dziewiętej. Wówczas to na kolejny zew dzwonu ulice miasta się zaludniają. Najwcześniej domy opuszczają kawalerowie. Czynią tak, aby przed kościołem zająć dogodne miejsca obserwacyjne i być świadkiem przemarszu płci pięknej. Ustawiają się na rogu ulicy naprzeciwko kościoła, ponieważ stąd najlepiej widać zdążających na nabożeństwo niemal ze wszystkich kierunków. Ale te stanowiska jako najbardziej reprezentacyjne zarezerwowane są zazwyczaj dla miejscowych. A kawalerka z Folwarków musi się zadowolić miejscami pod kasztanami obok sklepu pana Cwynara.

Niedziela w Cieszanowie

Na ulicach, chodnikach coraz rojniej. Cieszanowanie maszerują rodziny, jak też w pojedynkę. Występując też i inne konfiguracje. Ot sąsiad z sąsiadem, dziewczyna z koleżanką. Wszyscy odświętnie wystrojeni. Niedziela to też rewia mody. Dla wielu parafian siódmy dzień tygodnia jest jedną z nielicznych okazji do wdziania garnituru czy kostiumu.

Parafianie na nabożeństwo wyruszają też samochodami. Odgłosy obcasów zagłusza huk silników. Wprawdzie spacer by się przydał, ale kiedy jak nie w niedzielę jest najlepsza okazja do pokazania się w swoim samochodzie! Przy okazji do auta zabierana jest cała rodzina. Czasem oprócz dzieci wciśnie się nawet dziadek albo babcia. Wśród samochodziarzy nie brak też mieszkańców pobliskich wsi, w których akurat też w tym dniu odbywają się nabożeństwa, na przykład z Nowego Siola czy Chotylubia. Czynią tak ponieważ ich aspiracje ciągną ku miastu. Aby jednak nie być posądzonym przez sąsiadów o wysorowanie się, zawsze na wyjazd do kościoła w Cieszanowie znajdują jakieś alibi. A to konieczność odwiedzenia krajana, a to potrzeba dokonania zakupu.

Niedziela w Cieszanowie jest również dniem handlowym. Mimo święta wszystkie sklepy spożywcze są otwarte. Świąteczna pielgrzymka po marketach staje się już rytuałem. Parafianie wyruszają w tym dniu na zakupy, gdyż zabrakło chleba, bo ktoś z domowników z zaprowiantowaniem zawalił, bo niespodziewani goście w sobotę za dużo zjedli i wypili. Jest też jeszcze inny, psychologiczny powód odwiedzania sklepów w niedzielę. Można pokazać innym na co mnie stać. Niech dzieci z boku się obliżują, gdy moje trzymają w garściach torebki ze smakołykami!

Po nabożeństwie potok wiernych wylewa się na ulice i chodniki miasta. Wówczas to każdy chociaż przez chwilę, znajduje dla siebie zajęcie.

Kawalerka lustruje pleć piękną wymieniając przy tym swoje uwagi. Dziewczyny nie pozostają im dłużne, tylko czynią to bardziej dyskretnie. Patrząc można się zorientować, kto z „nowych” się pojawił, kto z kim zaczął chodzić. Jeśli dziewczyna do kościoła przybywa w towarzystwie kawalera, to niechybny znak, że wkrótce w jej domu będzie weselisko.

W baczny rozglądaniu się i gestach pozdrowień nie odstają również starsi. Przed kościołem można spotkać dłużnika, osobę która ma zamiar sprzedać samochód. Przede wszystkim jednak jest to okazja do wymiany nowin. Trzeba bowiem skomentować miniony tydzień, zweryfikować wieści z terenu gminy, kraju i świata. Stąd dysputy o ostatniej decyzji burmistrza Dziaduly i wypowiedzi prezydenta Kwaśniewskiego, o wydarzeniach w Jugosławii i o biedzie w byłym pobliskim PGR.

W szczególnej cenie jest informacja gminna. O wydarzeniach w kraju i na świecie, można się dowiedzieć z telewizji i radia, a o sprawach miejscowych ludzie zaczerpują wieści z przekazywanych sobie w niedziele informacji. Tą drogą dowiadują się kto w ciągu ostatniego tygodnia zmarł, kto już został dziadkiem i u kogo interweniowała policja. Przykościelne pogawarki dla wielu się przeciągają i znajdują swój epilog w pobliskiej gospodzie. Wiadomo przy kielichu łatwiej o szczerość i siłę argumentów!

Gdy wierni wychodzą z sumy przez otwarte okna domów na ulice docierają zapachy zup, sałatek i smażonych kotletów. W ciągu tygodnia może być ryż zapiekany, ziemniaki z kefirem, ale w święto obowiązkowo musi być obiad z trzema daniami. Chodzi też o gości. Niedziela to też dzień odwiedzin. Zazwyczaj w święto mieszczuchy jadą na wieś. W przypadku Cieszanowa ma miejsce ruch dwustronny. Stąd kranie ze wsi odwiedzają swe rodziny w mieście.

We wczesnych godzinach popołudniowych miasto robi wrażenie opustoszałego. Na ulicach nieliczni samotni przechodnie. Ale późnym popołudniem miasto znowu się zaludnia. Zaczyna się pora spacerów i odwiedzin. Staruszkowie zajmują miejsca na ławkach przed parkiem w rynku i wspominają dawne czasy. Ale niedzielne popołudnia większość cieszanowian woli odpoczynek w domu przy telewizorze i w gronie rodziny.

Ostatni blask zachodu gaśnie nad Cieszanowem. Zapada zmierzch. Miasto w swe posiadanie biorą młodzie. Chodniki, ścieżki w parku zaludniają się spacerującymi parami. Wielu chłopaków zasiada w wyproszonym u ojca na dzisiejszy wieczór samochodzie, motocyklu. Łatwiej wówczas zaimponować kumpłom i dziewczynie, jak też zdobyć jej uległość. Naciskając maksymalnie na gaz z hukiem krążą po ulicach miasteczka. A w domu kultury rozpoczyna się dyskoteka. Dźwięki muzyki miesza się tu z gwarem i pokrzykiwaniami. Dla młodych dopiero teraz nastąpi najbardziej urokliwa część świątecznego dnia. Jest miejsce na intymność i miłosne wyznania. Tylko z zamglonego nieba migocą gwiazdy.

Tony ostatniej melodii zamierają. Koniec dyskoteki zwiastuje finał świątecznego dnia. Minęła północ, zaczyna się poniedziałek.

Ryszard Strzelecki

Daniela Zuchowska

Narol

Nad rzeką Tanwią

Nad rzeką Tanwią w wieczornej porze woda w dal płynie i brzegi rwie, a na zielonym barwnym ugorze mała olszyna w górę się pnie

Nad rzeką Tanwią szumią szuwały
wpijając krople wsiąkniętej krwi.
Nie jeden żołnierz broniąc ojczyzny,
pod pełną darnią snem wiecznym śpi.

Nad rzeką Tanwią ptak cicho kwili
wszystko spowiła wieczorna mgła,
olcha nad wodą gałąź swą chyli
i coś żałośnie daleko łka.

Zielone świerki szumią w oddali
nucąc piosenkę minionych lat.
Na wodzie bije fala o falę,
o tych legendach co czas już skradł.

A tylko rzeka w dal cicho płynie,
z westchnieniem wody i pluskiem fal.
Zabiera z sobą wszystkie wspomnienia
i niestrudzona wciąż płynie w dal.

Ciekawia Cię ludzie, wydarzenia, zjawiska. Chcesz się podzielić tym co Cię fascynuje, drażni, boli — napisz do Nas.

Wspólnie możemy lepiej, pełniej pokazać były powiat lubaczowski, jego historię i teraźniejszość, konflikty i osiągnięcia, bolączki i radości, ludzi, którzy osiągnęli sukces i tych, którzy borykają się z kłopotami codzienności.

Zapraszamy do współpracy

W prawdzie ksiądz Jerzy Gliszczynski zmarł w ubiegłym roku, to my dopiero teraz z racji ukazania się naszego pisma możemy przybliżyć sylwetkę tego niezwykle człowieka naszym czytelnikom. Nie przesadzimy wiedziawszy, że dla wiernych Lubaczowa, Bełzca i Potoka (bo w tych parafiach pełnił duszpasterską służbę) pozostanie w pamięci do końca ich życia. Był księdzem szczególnym, wręcz rzadko spotykanym. Fascynował i czarował parafian swym śpiewem. Każde słowo w jego ustach brzmiało jak najpiękniejsza pieśń. W Lubaczowie co niedziela w trakcie nabożeństwa z mikrofonem albo gitarą przy ołtarzu melodyjnym radosnym śpiewem napełniał kościół.

Ksiądz — śpiewak

Był to głos pełen nostalgii, pełen czarującej świeżości i chyba dlatego udało się mu pieśń religijną doprowadzić do niedoścignionej doskonałości. Śpiewem ogrzewał ludzkie serca, przenikał do głębi, czarował i opanowywał ich duszę. Były to melodie, jakie wyśpiewuje słowik o zmierzchu wieczornym, kiedy woń róż upaja tęsknotą oczekujące wiosnę serca. Słuchając słownych tonów nie sposób było być obojętnym. Wzruszenie ogarniało wszystkich obecnych na nabożeństwie. Gdy na mszy zaśpiewał „Czarną Madonnę” — mówi parafianka z Lubaczowa, myślałam, że mi serce pęknie i miałam łzy w oczach...

Nie przypadkowo na msze odprawiane przy jego współudziale ściągali ci wiernych, a kościół pękał w szwach. Przez zainstalowane głośniki jego śpiewu można było słuchać na zewnątrz świątyni a nawet na przylegających do kościoła ulicach miasta. Najbardziej jednak cieszył i rozrzewniał ten śpiew ludzi młodych. Ksiądz był dla nich ożywczych tchnieniem, kimś wyjątkowo bliskim skłaniającym do naśladownictwa. Dlatego też tworzy chór, pomaga wyjątkowo uzdolnionym, wysyła ich na festiwale pieśni religijnych.

Ale jak mówi Cyprian Norwid: „Bolesne są śpiewaka drogi”. Jego śpiew fascynował, ale i gorszył, budził podziw, ale i zawiść. Co niektóre starszki oburzało, że młodzi ludzie w kościele w rytm śpiewanych pieśni przytupują nogami. Wielbicieli jego głosu przybywało. Zaczęły się licytacje wśród posiadanych względami u księdza. „Na mnie w czasie nabożeństwa dłuższą chwilę popatrz”, inna dodaje „gdy szedł z tacą dotknął mojej ręki”. A na jednej próbie chóru dochodzi między paniami wręcz do awantury. Za du-

żo zgłosiło się chętnych a żadna z przybyłych nie chciała zrezygnować! Do kurii zaczęły trafiać anonimy i donosy. Ale nawet wśród niektórych duchownych „śpiewane msze zaczęły budzić pewne kontrowersje”. „Dominacja śpiewu — zarzucano — i to nie zawsze ściśle religijnego wypaczało niekiedy samą istotę nabożeństwa”.

W efekcie ksiądz opuszcza Lubaczów i idzie na wygnanie do Potoka, wsi za Wielkimi Oczami. Wprawdzie tu również mały wiejski kościółek staje się sanktuarium śpiewu religijnego. Ale ta tradycyjna społeczność wiejska w dodatku odizolowana od świata „nie jest w stanie pojąć w pełni rozmiaru jego talentu. Wprawdzie jego głos roz-

brzmiewa na pielgrzymkach, festiwalach pieśni religijnych, ale nie są już to te możliwości, jakie dawał mu Lubaczów. I może z tych powodów trafia do parafii w pobliżu aż Zamościa. Tutaj też w wieku 52 lat nagle wiosną ub. roku umiera. Na miejscowym cmentarzu ma miejsce tylko symboliczny pogrzeb. Symboliczny, gdyż jego zwłoki rodzina zabiera i już autentyczny pochówek ma miejsce w jego rodzinnej miejscowości w woj. piotrkowskim.

Ze śpiewem szedł przez życie i śpiew żegnał go w ostatnie drodze. Okazuje się, że cała jego rodzina jest wyjątkowo muzyczna. Jego dwaj bracia są organistami a trzeci był kapelmistrzem w wojskowej orkiestrze. U nas święta rodzinne, spotkania — relacjonuje jego brat — to nie jedzenie, rozmowy czy picie, ale śpiew, śpiew, i jeszcze raz śpiew. Już wchodząc w progi rodzinnego domu śpiewaliśmy. Śpiew był rankiem wieczór przed i po posiłkach. Śpiew dawał nam radość życia i był naszą największą miłością”.

Odszedł ksiądz — śpiewak. Nikt w Lubaczowie ani w Potoku nie ujrzy go śpiewającego. Pozostanie jednak jego niekończąca się pieśń we wdzięcznej pamięci parafian. Cieszył się i rozrzewniał ich ten śpiew. Dlatego śpiewane przez niego pieśni pozostają wciąż żywe, krążą w odpisach taśm, nagrań i nadal wzruszają ludzi.

Wielka szkoda, że tak wcześnie musiał odejść. Szczególnie smutno jest człowiekowi na duszy, gdy uzmysłowia sobie, że odszedł człowiek z niepospolitym talentem, który poprzez śpiew niósł ludziom ożywcze tchnienie i wzbogacał ich duchowe religijne życie.

Jan Olszewski

Niezależne Forum Prywatnego Biznesu w Lubaczowie

W styczniu br. rozpoczęło w Lubaczowie działalność Niezależne Forum Prywatnego Biznesu. Na pierwszym założycielskim zebraniu powołano władze w składzie: **Zbigniew Słotwiński** — prezes, **Edwin Bogusz** i **Waldemar Zubrzycki** — wice oraz **Stanisław Cichowicz** jako skarbnik. W 12-osobowym zarządzie, oprócz miejscowych przedsiębiorców znaleźli się jako reprezentanci terenu **Franciszek Brzycki** z Cieszanowa i **Marian Dziechciarz** z Horyna.

Główny cel nowo powstałej organizacji — to wspieranie małego i średniego biznesu oraz podejmowanie działań gospodarczych na rzecz rozwoju Lubaczowa i okolic. Przy Forum rozpocznie działalność spółka, która poprzez prowadzenie działalności gospodarczej zasilać będzie pochodzący ze składek budżet organizacji.

Powstanie Forum spotkało się z dużym społecznym odzewem. Na pierwszym założycielskim posiedzeniu wstąpiło do niego 40 przedsiębiorców a w kolejnym tygodniu — 18. Przewidujemy — mówi prezes — że ta liczba dojdzie do siedemdziesięciu. Do nowej inicjatywy bardzo pozytywnie ustosunkowały się władze miasta. Odbyło się już pierwsze robocze spotkanie z zarządem gminy na którym omówiono formy współdziałania.

M.W.

Dobra nowina z Oleszyc

W maju ub. roku zorganizowaliśmy dyskusję — pisze **Anna Padowska** z Klubu Dyskusyjno-Naukowego ZSR w Oleszycach — Ziemia — planeta ludzi, zwierząt i roślin, czyli ekologia jako wartość. Były ciekawe referaty, dyskusje oraz spacer po naszym miasteczku i obserwacje ekologiczne.

Nasze spostrzeżenia przekazaliśmy na spotkaniu z przew. Rady Miejskiej. Obiecał nam, że przynajmniej jedno można zrobić szybko — ustawić kosze na śmieci na trasie szkoła — rynek. Na przestrzeni 1 km drogi, którą codziennie przemierzają setki dzieci, młodzieży i mieszkańców nowych osiedli nie było ani jednego kosza.

Nic więc dziwnego, że pobocza były zaślane papierami i śmieciami. Czekaliśmy cierpliwie na spełnienie obietnicy — mijał maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień. Nie dawaliśmy za wygraną. Z regularną częstotliwością odwiedzaliśmy gabinet przewodniczącego. Zawsze były jakieś drobne przeszkody. Wreszcie udało się i 20 X 1995 roku pojawiły się nowe estetyczne i funkcjonalne kosze. Codziennie idąc do szkoły patrzymy na nie i jesteśmy dumni tak, jakbyśmy je sami zrobili. Pokazaliśmy, że nie można ograniczać się tylko do narzekania i krytykowania, lecz poprzez swoje działania zmieniać rzeczywistość.

Raj nr 2 1996 r.

Ogólnokrajowy miesięcznik ekologiczny

Przesłani na przechowanie

Dom Pomocy Społecznej dla Umysłowo Upośledzonych w Rudzie Różanieckiej utworzono 32 lata temu w pałacu barona Braniczkiego. Aktualnie przybywa tu prawie 250 chorych. Niemal połowa z nich dotknięta jest niedorozwojem umysłowym w różnym stopniu: idiotyzm, imbecylizm i debilizm. Drugą nieco licniejszą grupę stanowią chorzy psychicznie. Wśród nich mamy schizofreników, pacjentów z otępieniem starczym, przewlekłym alkoholizmem i padaczką alkoholową.

W zakładzie też, przybywa 10 przestępców kryminalnych. Wśród nich są złodzieje, podpalacze, gwałciciele a nawet i mordercy. Przestępcy przywożeni są w kajdankach, tutaj ich rozkuwają i na tym kończy się rola konwojentów oraz resortu Ministerstwa Sprawiedliwości. Od tej bowiem chwili przestępcy stają się pensjonariuszami. Tak jak i innych najbardziej chorych trzeba strzyć, golić a nawet obcinać im paznokcie, gdyż nie sposób dać im do ręki nóż czy żyletkę. Z nimi też zakład ma największe kłopoty. Pielęgniarki z ich powodów dostają na dyżurach dreszczy. Wystarczył wcześniejszy pobyt w areszcie śledczym, a już ci ludzie potrafią parzyć środki narkotyzujące, umieją też przy pomocy dwóch przewodów i żyletki zagotować wodę w tym celu. Upowszechniając więc zwyczaj i normy postępowania demoralizują chorych. Nie przypadkowo od ich przyjęcia pojawiają się przypadki głodówek i samoszkodzeń.

Byli kryminaliści często uciekają. Poszukiwania prowadzi wówczas zakład. Policji takie sprawy nie interesują. Wynajmują się też do pracy u gospodarzy a za zarobione pieniądze kupują wódkę. Z tych też względów muszą być szczególnie pilnowani. Sytuacja w której obok ludzi dotkniętych przez wiek i choroby przybierają mordercy i recydywiści jest absolutnie nienormalna. Ale niestety obszerna korespondencja dyrektora **Janusza Onyszkiewicza** z resortem zdrowia, sprawiedliwości, aby ten stan zmienić pozostaje wciąż bez echa.

Wyjątkowo bogaty konglomerat postaw i losów stanowią pensjonariusze Domu Opieki. Wśród nich są ludzie wielu zawodów i z różnorodnymi życiorysami. Oprócz rolników, robotników znajdziemy tu urzędnika, inżyniera, lotnika, studenta nauk politycznych piszącego wiersze, a nawet przestępcę z pięcioletnim wyrokiem za gwałt.

Gdy trafiam do ośrodka jest pogodny jesienny dzień. Chorzy wylegli do parku, spacerują przyspieszonym krokiem najczęściej w pojeździe. Jedni się śmieją do siebie, inni głośno gestykują jeszcze inni milczą. W sumie robią wrażenie oderwanych od rzeczywistości, pochłoniętych swoimi gestami i medytacją. I te spojrzenia przyjazne, czasami jakby błagają o litość, inne pełne obłędu, oczy rozbiegane, albo wpatrzone w jakąś abstrakcyjną dal. Różnorodność są też ich ubiory. Oprócz ubranych „po cywilnemu” widać osoby w pidżamach a nawet w kaftanach bezpieczeństwa. Dyrektor wyjaśnia, że stroje rozpoznawcze zakładane są pacjentom, którzy mają tendencje do ucieczek.

Człowiek z niedorozwojem umysłowym czy chorzy psychicznie spotkany gdzieś na ulicy czy we wsi nie wywołuje większego wrażenia, co najwyżej budzi współczucie i litość. Ale tutaj,

gdy na kilku hektarowej powierzchni przybywa ponad 200 chorych można mieć pełniejsze wyobrażenie o rozmiarach ludzkiego nieszczęścia. Choroba różnicuje pensjonariuszy, utrudnia kontakty. „O solidarności i to na szczęście — mówi dyrektor **J. Onyszkiewicz** — nie ma mowy między pensjonariuszami. Trudno im się dogadać lub dokonać coś wspólnie. Widać to doskonale na przykładzie organizowanych ucieczek. Są niezwykle solidarni na etapie przygotowań. A gdy przychodzi do czynu natychmiast ktoś z wtajemniczonych informuje personel. Nie brak im jednak ludzkich odruchów. Żywo interesują się każdym nowym przybyszem. Ci co trochę lepiej kontaktują otaczają nowego i pokazując na niego palcem wołają: „O, przywieźli nam nowego wariata”.

Mieszkańcy Domu Opieki żyją w zapomnieniu jakby przybyli z jakiegoś innego świata. Mało kto chce się do nich przyznać. Odwiedziny rodzin należą do rzadkości, choć wiadomo jak pozytywnie wpływają na samopoczucie chorego. W większości pozostają bez odpowiedzi listy pisane do bliskich. Jeżeli już ktoś z rodziny przyjeżdża, to zazwyczaj po to, aby zgłosić personelowi jakąś pretensję, że chory źle ubrany albo że ma podrapany nos. Połechtawszy w ten sposób sumienie krajani jak najszybciej opuszcza miejsce zesłania swego bliskiego. Rodzina powiadamiana jest o śmierci chorego, ale tu również sporadyczne są przypadki, aby przyjeżdżano na pogrzeb, czy też zabierano zwłoki. Rodzina zazwyczaj zjawia się tylko wówczas, gdy nieboszyk z części oddkładanej renty ma w kasie znaczną sumkę.

Do niedawna pensjonariusze mieli swój rejon na cmentarzu w Plazowie. Ze względu na znaczną odległość zwłoki na cmentarz wożono samochodem i udział w pochówku mogła brać tylko nieznaczna część pensjonariuszy. Od niedawna jednak mają swój rewir na cmentarzu w Rudzie Różanieckiej i tutaj za trumną idzie już cały kondukt złożony z mieszkańców Domu Opieki.

W swoim nieszczęściu chorzy bywają naiwni i łatwowierni. Dlatego też dość często stają się ofiarami różnych cwaniaków. Oto jednego dnia pensjonariusz wraca bez dopiero co kupionych butów. Na pytanie co z nimi zrobił z rozbijającą szczerością mówi: „Jeden z mieszkańców wsi bardzo mnie prosił, abym mu je dał, gdyż nie ma w czym chodzić!” Podobnych incydentów jest więcej.

Cenią wolność, marzą o niej, tęsknią. Ustawicznie pytają dyrektora, kiedy będą mogli stąd wyjechać. Gdy jednak ktoś z nich otrzyma „przepustkę” na miesiąc, dwa to już po tygodniu wraca albo bywa przywieziony. Wracają, bo tu mają jednak najlepiej. W swych rodzinnych domach stają się intruzami i z miejsca narzuca się im rygor, które dla nich bywają nie do przyjęcia. Potrafią okazywać pomoc słabszym. Oto pacjent z trudem się poruszający w dodatku dotknięty kompletnym debilizmem jest pod ustawiczną opieką i to od wielu miesięcy osoby psychicznie chorej.

Ale oprócz postaw ugrzecznionych mamy zachowania pełne agresji. W takich sytuacjach zdarzają się przypadki pobicia pracownika, którymi w przeważającej większości są kobiety. Wówczas ratunkiem bywa kaftan bezpieczeń-

wa, którego groźba użycia budzi strach i dzia-
na pensjonariuszy dyscyplinująco.

Z uznaniem należy przyznać, że w Domu Opieki panuje atmosfera pełna życzliwości i zaufania. Komenderowanie zastąpione jest perswazją. Klimat tu panujący zbliżony jest do domu rodzinnego. W ramach resocjalizacji organizowane są dla pensjonariuszy zajęcia świetlicowe, sportowe i wycieczki. Nie zapomina się nawet o imieninach, świętach Bożego Narodzenia, Wielkanocy. W zależności od pory roku organizowane są wycieczki, ogniska, kuligi. Dwa telewizory kolorowe, jak też magnetowidy umożliwiają chorym oglądanie filmów i programów.

Dla mniej chorych organizowane są nawet wycieczki do analogicznego zakładu, ale kobiecego w Moszczanach. W dniu odwiedzin gospodarze zazwyczaj organizują zabawę taneczną. Efektem takich wizyt jest obfita korespondencja i rewizyty pensjonariuszek na analogiczną imprezę w ich zakładzie. Jako ciekawostkę można podać, że zapoznanej przy tej okazji partnerce jeden z pensjonariuszy kupił kolczyki i pierścionek.

Dyrektor **Onyszkiewicz** z satysfakcją pokazuje salę, gdzie znajdują się prace artystyczne pensjonariuszy. Okazuje się, że niektórzy z nich pięknie malują, rzeźbią, wyszywają. Działalność ta jej uczestnikom daje sporo satysfakcji i jest ratunkiem przed stresami. Wniosek stąd, że nie brak tu jednostek, których można by przywrócić społeczeństwu i nauczyć ich prostych zarobkowych.

Utrzymanie tu jednak warunków zbliżonych do drugiego domu nie jest sprawą łatwą. Jak bowiem 24 opiekunów ma prowadzić rehabilitację z prawie 250 chorymi? Placówka nie zatrudnia lekarza a tylko „nadzór” profilaktyczny nad chorymi sprawuje najbliższy Ośrodek Zdrowia a drobne obrażenia opatruje pielęgniarka na miejscu. Natomiast dwa dni w tygodniu ma tu dyżur psychiatra. Pensjonariusze nie są leczeni, a podaje im się tylko środki uspokajające. To ten jest źródłem pojawiających się opinii, że Dom Opieki to umieralnia, bo niby komu zależy, aby chorzy długo żyli?

Wspomniane uwarunkowania, jak też bariery finansowe ograniczają możliwości zakładu w podejmowaniu nowych form rekreacji i szerszych działań psychoterapeutycznych. Pacjenci mimo wariackich papierów pozostają ludźmi. Niemal każdy z nich miał lub posiada rodzinę, którą swym kalectwem unieszczęśliwił. Ale to nie oni zawinili, że spotkał ich taki los. Zapewnienie im ludzkich warunków bytowania to humanitarny obowiązek społeczeństwa i kompetentnych władz.

Odwiedziny w Domu Opieki wstrząsają sumieniem i skłaniają do wielu refleksji i pytań. Dlaczego tych ludzi spotkał taki los. Czy wszyscy tu obecni musieli tu trafić. Czy starszyszy z otępieniem starczym, który ma dzieci i wnuki tutaj winien dożywać swoich dni. Czy w ośrodku nie ma osób, które przy odpowiednim leczeniu byłoby do uratowania i czy wreszcie chorzy psychicznie muszą nadal przebywać z przestępcami.

Roztocze — kraina cichych pofalowanych przestworzy pól, zielonych lasów i krystalicznie czystych wód. Uroda krajobrazu urzeka. Można tu bez końca, o każdej porze roku patrzeć na panoramę rozległych wzgórz, przysiadłe wioski w dolinach i melancholijnie kuszącą dal. A w południowo-wschodniej części tej krainy wśród lasów Narol, miejscowość głęboko wtulona w wieczność.

Król Zygmunt III Waza już w 1592 roku osadził Florianów (tak się wówczas nazywał) nadaje prawa miejskie i przywileje. Korzystając z nich miasteczko prężnie się rozwija. Wybudowano ratusz, bożnicę, obronny zamek a osadę otoczono wałami. Słynne stały się tu targi i jarmarki na które licznie ściągali kupcy z Jarosławia, Tomaszowa a nawet Zamościa.

W 1648 roku wpadają do Narola kozacy Bohdana Chmielnickiego. Mimo zacieklej obrony miasto pada. Nie było wówczas w całej Rzeczypospolitej rzezi tak okropnej, jak w Narolu. Kozacy mordują aż 20 tysięcy ludzi, którzy się do tej osady schronili.

A w kilka lat później, przez tę miejscowość maszerują szwadrony szwedzkie króla Karola Gustawa, grabiąc i rabując, co się tylko dało. I jakby tych klęsk i nieszczęść było za mało w 1672 roku do Narola zbliża się wataha Tatarów. Przed niechybną kolejną katastrofą ratuje miasteczko Jan Sobieski, który napastnikom zagraża drogę, zadaje im klęskę i uwalnia kilkudziesięciotysięczną rzeszę jeńców wziętych do niewoli.

Światły i wykształcony właściciel Narola wojewoda **Antoni Łoś** w latach siedemdziesiątych XVIII wieku wybudował pałac. Budowla ta w całym regionie nie miała sobie równej. Wzniesiona w stylu włoskim zawierała 50 pokoi wyposażonych w kominki, lustra i ozdobne w stylu klasycznym meble. Słynna tu też była sala bawialna i biblioteka. Pałac otaczał przepysny park, który razem z rezydencją stanowił unikalną perełkę Roztocza.

słowem urządzić się. Przejedny szlak niczym wichur wiał stąd ludzi w świat, do szkół, do pracy. Większość wraca, ale nie brak i takich, którzy za granicą zostają na zawsze.

Jednym z nich jest lekarz **Jan Zuchowski**, który chociaż ponad dwadzieścia lat temu mieszka w Sztokholmie nadal czuje się narolczaninem. Aby spłacić dług rodzinnej miejscowości w której spędził dzieciństwo i młodość wyszedł z inicjatywą utworzenia w starym budynku szkoły Muzeum Regionalnego z bogatym działem zbiorów szwedzkich! Skąd ten niezwykle pomysł? Otóż w trakcie perygrinacji po szwedzkich muzeach i archiwach wpadł on na trop sensacyjnego odkrycia — wyjątkowo licznych map z terenu Polski w tym również Narola a wykonanych przed ponad trzema wiekami przez służby zwiadowcze króla Karola Gustawa. W czasie najazdu na Polskę marszrutę jego wojsk poprzedzała liczna kwerenda agentów szwedzkich, którzy z wyjątkową drobiazgowością nanosili na mapy wszystkie terenowe szczegóły: drogi, przeście, mosty. A w przypadku Tanwi pozaznaczane są na tych mapach miejsca dogodnych przepraw, strefy bagien i wyjątkowo niebezpiecznych przeście. **Jan Wolańczyk** z Urzędu Gminy — entuzjasta tej idei wierzy, że przy wsparciu rodaka ze Szwecji Muzeum Regionalne w Narolu zostanie założone.

W ostatnich latach odrodziła się też idea ratowania pałacu. W minio-
nym 50-leciu po prowizorycznym remoncie pałac użytkował PGR.

Mieściło się tu także przedszkole, kawiarnia a aktualnie od wielu już lat stoi zupełnie opustoszały. Dopiero w 1990 roku zaświtała nadzieja na lepsze czasy dla pałacu. Prof. **Władysław Kłosiewicz** z uczelni muzycznej w Garsu (Austria) wraz z żoną **Ewą Iżykowską** — solistką Teatru Operowego w Lucernie (Szwajcaria) zwrócili się z pismem do wojewody przemyskiego i wójta gminy w Narolu w którym czytamy: „Niniejszym wyrażamy zamiar nabycia na własność (ewentualnie w wieczną dzierżawę) zabytkowego zespołu pałacowo-parkowego. Pragniemy dokonać kapitalnego remontu pałacu i rekonstrukcji wnętrza. Po przeprowadze-

Narola: wzloty i upadki

Pałac po oddaniu go w 1791 roku do użytku staje się ośrodkiem życia kulturalnego i artystycznego. Hrabia Łoś zakłada tu bowiem słynną wówczas szkołę dramatyczną i muzyczną w której kształciła się utalentowana młodzież szlachecka z całego niemal kraju.

Niestety okres świetności i kulturowo-rolowej roli pałacu kończy się wraz ze śmiercią jego założyciela hrabiego Antoniego Łośa. Jego następcy sprzedają część zbiorów bibliotecznych a sam pałac przechodzi zmienne koleje losu.

W czasie okupacji Narol jak też cała gmina słynęła z silnego ruchu oporu. Działający na tym terenie oddział AK pod dowództwem **Kostekiego „Kostki”** ma na swym koncie szereg brawurowych akcji przeciwko Niemcom i UPA. Ale sukcesy, sława owocuje po przejściu frontu rozruchaną falą swawoli. Na tym terenie przez szereg miesięcy nie agenda PKWN sprawowała władzę, ale „Kostka” ze swoimi ludźmi. Rządził niepodzielnie wydając wyroki na jednych wynagradzając drugim. Stan ten nie do zaakceptowania przez nową władzę. Dlatego też wojsko organizuje akcję na Narol. Wychodzącym w lutą niedzielę 1945 roku narolczanom z kościoła ukazał się przerażający widok. Pałac płonął! Z okien buchały języki ognia a nad dach wznosiły się kłęby czarnego dymu. Ludzi ogarnęła groza i jak najgorsze przeczucia. Jak na ironię losu dzieła podpalenia dokonali na rozkaz dowódcy żołnierze wojska polskiego! Grupa partyzantów „Kostki” schroniła się do podziemi pałacu i aby ich stamtąd „wykurzyć”, zmusić do wyjścia podpalono pałac.

Legendarny „Kostek” i wielu z jego podkomendnych trafiło do więzienia, z którego wrócili dopiero po kilkunastu latach. A on sam mieszkając we Wrocławiu jeszcze do niedawna przyjeżdżał co roku do Narola, aby na kombatanczej uroczystości spotkać się ze swoimi „chłopakami”.

Wbrew pozorom minione 50-lecie nie było dla Narola łaskawe. W nowym powojennym układzie administracyjnym znalazł się on na rubieżach województwa rzeszowskiego, a później przemyskiego i chociażby z tych powodów ominęła go niejedna inwestycja. Właściwie wszystko, co tutaj w minionym półwieczu dokonano, osiągnięto własnym wysiłkiem. Tak było z budową Ośrodka Zdrowia, Banku Spółdzielczego czy Domu Towarowego. Tylko przy budowie osiedla mieszkaniowego i dużej nowoczesnej szkoły Narol otrzymał znaczne wsparcie z zewnątrz.

Rzeczywistość nie rozpieszcza Narola. Przemysłu tu brak a ziemia licha. W UG zarejestrowanych jest prawie 1000 bezrobotnych. Ale ludzie nie zalamują rąk. Wielu narolczan w poszukiwaniu pracy trafia do Włoch, Niemiec, a nawet za ocean. Tam chwytają się najcięższych prac. A wszystko po to, aby po kilku latach wrócić, postawić dom, kupić samochód,

niem remontu chcemy utworzyć w narolskim pałacu prężny ośrodek działalności artystycznej ukierunkowany na organizację międzynarodowych kursów wykonawstwa muzyki dawnej, koncertów z udziałem wybitnych wykonawców, festiwali muzyki dawnej, warsztatów teatralnych, plenerów malarskich, spotkań literackich”.

Mimo wielu przeszkód 21 października ub. roku nastąpiło przekazanie pałacu w ręce Kłosiewiczów. Czy zamiar się powiedzie? Czy pasjonaci tej idei znajdują w sobie dość siły i hartu ducha, aby zaplanowane przedsięwzięcie doprowadzić do końca. Remont pałacu pochłonie ogromne pieniądze. Czy one się znajdą. Oczywiście wcielenie w życie tych zamierzeń to olbrzymia szansa dla Narola, gminy jak też i regionu.

Ale to również odpowiedzialność. Aby przyjeżdżający czuli się tu dobrze gmina musi dysponować odpowiednim standardem i zapleczem turystycznym. Chodzi bowiem o rozbudowę bazy noclegowej, lokali gastronomicznych i tras wycieczkowych. Moglibyśmy wątpić w plany aktywizacji Narola i jego kolejny renesans, gdyby nie ambitne władze gminy. Na szczęście demontaż PRL w 1990 roku odbył się tu bez trzęsienia ziemi. Górę nad emocjami, pochopnymi ocenami wziął rozsądek mieszkańców Narola. Dlatego zachowana została tu ciągłość kadrowa a jedynym kryterium weryfikacji kadr była fachowość i kompetencje. A awanse spotkały ludzi, którzy sprawdzili się w dotychczasowej działalności. Należy do nich **Kazimierz Patałuch**, który z funkcji sekretarza UG wybrany został wójtem i stanowisko to pełni już drugą kadencję.

Stawka na ambitną kadrę zawodową zaowocuje. Od 1 stycznia br. Narol znowu stał się miastem. Wprawdzie otrzymanie praw miejskich nie od razu stanie się odczuwalne dla mieszkańców. Życie będzie biegle dotychczasowym torem. Ale status miasta znacznie wyzwalając aspiracje, spotęguje rodzenie się nowych potrzeb i ambicji.

Szanse dla Narola władze upatrują w walorach przyrodniczych gminy. Mamy tu bowiem wszystko czym natura mogła obdarzyć ziemię: puszczańskie knieje, stawy, uroczyska. Znaczna część parku krajoobrazowego Puszczy Soliskiej leży w granicach gminy. A najczystsza rzeka w Polsce Tanew też przebiega przez ten teren. Woda mineralna z Narola znana ze swych walorów smakowych trafia aż do Warszawy. Stąd zabiegi burmistrza o status gminy ekologicznej, gminy na terenie której oprócz czystych wód produkowana jest zdrowa żywność.

Narol stać na dokonania niezwykle, tak jak niezwykle i wyjątkowa jest przeszłość tego miasteczka.

Marian Ważny

Stacja Lubaczów: przyjazdy i odjazdy pociągów ważny do 1.06.1996 r.

godz. przyjazdu ze stacji	stacja	godzina odjazdu
0 ⁴¹ , 6 ⁰³ , 11 ⁴² , 16 ¹¹ , 19 ⁴⁸	Bełżec	2 ⁵⁰ , 7 ³⁵ , 10 ¹¹ , 16 ⁵⁰ , 21 ⁴²
0 ⁴¹ , 6 ⁰³ , 11 ⁴² , 16 ¹¹ , 19 ⁴⁸	Horyniec	2 ⁵⁰ , 7 ³⁵ , 10 ¹¹ , 16 ⁵⁰ , 21 ⁴²
2 ⁴⁹ , 7 ³⁴ , 11 ¹⁰ , 16 ⁴⁹ , 21 ⁴¹	Przeworsk	0 ⁴² , 6 ⁰⁴ , 11 ⁴³ , 16 ¹² , 19 ⁴⁹
2 ⁴⁹	Kraków	0 ⁴²)
0 ⁴¹ , 11 ⁴² , 19 ⁴⁸	Zamość	2 ⁵⁰ , 10 ¹⁰ , 16 ⁵⁰

) na odcinku Przeworsk — Kraków pociąg pośpieszny

DAWNE WRÓŻBY MATRYMONIALNE W REJONIE LUBACZOWSKIM

W Chotylubiu na św. Andrzeja siało się krupy na szosie i jak przyszedł przez nie mężczyzna, to był znak że będzie szczęście.

☆

We wsiach w okolicach Cieszanowa (Chotylub, Dachnów, Folwarki) wróźono małżeństwo pannie młodej gdy pies zaniósł bułkę pod próg domu, a gdy bułkę pies zaniósł pod łóżko — był to znak że dziewczyna urodzi nieślubne dziecko.

☆

W Oleszycach dziewczęta ustawiały się rzędem przy drzwiach i która pierwsza doszła do okna tej wróźono najwcześniejsze wyjście za mąż. W Oleszycach też w czasie wieczery wigilijnej dziewczęta „kołatały” łyżkami. Na którym podwórzu zaszczeakał pies z tego gospodarstwa miał być mąż.

☆

Wśród dziewcząt ukraińskich praktykowano zwyczaj wkładania do pierogów

kartek z imionami chłopców. Ten, który pierwszy wypływał w czasie gotowania „przynosił” niejako męża.

☆

Powszechnie do wróźb matrymonialnych wykorzystywano psa. Tradycyjnie dziewczęta wypiekały z maki białe bułki — kukułki, stosując do zarobienia maki wodę przyniesioną w ustach z rzeki. Po jej przyniesieniu robiły ciasto i piekły placki. Potem kładły je rzędem na ziemi lub pod stołem i wpuszczaly do izby psa. Której dziewczyny ciasto zjadł pies, tej wróźono wyjście za mąż jeszcze w tym roku. Również kilka panien równocześnie kładło placki na podłogę i który plackek wziął pierwszy, ta pierwsza miała wyjść za mąż.

Wróźba ta była szczególnie popularna w Dachnowie i Oleszycach. **wykorzystano z pracy: Tadeusz Burzyński, „Zwyczaj, obrzędy i wierzenia...” Rocznik Lubaczowski, Nr V**

w jego obronie.

☆

W Cieszanowie w czasie wizytacji w 1868 roku zmarł arcybiskup lwowski ksiądz Łukasz Baraniecki.

☆

Już w ubiegłym wieku „Przyjacieli Ludu” donosił:

Hrebenne tem słynie, że tutejsi włościanie umieli leczyć chorobę z Ameryki po Europie rozmnożoną!

☆

Wybrana w 1927 roku rada gminy w Lubaczowie składała się z 16 Polaków, 16 Ukraińców i 16 Żydów. Ale już w radzie miejskiej wybranej w styczniu 1939 roku Polacy uzyskali 9 mandatów, Żydzi 4, a Ukraińcy 3.

Kronika Kryminalna

12.I.

Policjanci z Narola w wyniku pościgu zatrzymali 5 osób z woj. zamojskiego, które z szuflę ze sklepu monopolowego skradli 850 zł.

16.I.

Na drodze Narol — Ruda Różaniecka samochód kierowany przez 24-letniego Andrzeja K. z Narola na skutek nadmiernej prędkości wpadł do rowu i przewrócił się. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku, a czwórka młodych pasażerów Agnieszka S., Magdalena B., Grzegorz K., Daniel S. doznali obrażeń ciała i zostali przewiezieni do Lubaczowa. W krwi kierowcy, którego ujęto po kilku godzinach było 0,73 promilla alkoholu.

16.I.

Samobójstwo przez powieszenie się w stodole popełnił 38-letni Andrzej P. z Lipska.

Młody 18-latek z Załuża skonstruował sobie broń palną. Pierwszy wystrzał oddał w stronę którego zabił. Do akcji wkroczyła policja z Łowczowa, która młodzieńcowi oprócz „karabinu” zabrała też naboje kaliber 7,63. Równocześnie przez funkcjonariuszy został on pouczony, aby do czasu rozpoczęcia służby wojskowej zaniechał podobnych czynów.

19.II.

W Starym Dzikowie mężczyzna deską zdemolował stojącą na podwórzu Mozele 323. Właściciel straty ocenił na 700 zł. Sprawca jednak nie chciał tej sumy zaakceptować i odgrażał się, że powstrzyma wszystkich z posiadanej broni.

31.I.

W Jędrzejówce na jadącą późnym wieczorem sprzedawczynię z miejscowego sklepu napadło dwóch mężczyzn, którzy po uderzeniu ofiary drewnianym kołkiem zrabowali jej dzienny utarg.

Dramat w Narolu

W nocy z 31 stycznia na pierwszego latka w Narolu 36-letni Andrzej P. zadał kilka ciosów nożem swojemu 16-miesięcznemu synkowi i żonie. Kobieta mimo groźnych ran i upływu krwi w koszuli i z okrwawionym dzieckiem uciekła do sąsiada. Wkrótce przybył lekarz, ale dziecko nie żyło. Przystąpiono do ratowania matki. Zawezwaną karetką pogotowia zawieziona została do szpitala.

Tymczasem w domu pozostało dwoje starszych dzieci. Przybyli policjanci na podwórzu zobaczyli zabitego psa. Dom tonął w ciemnościach. Andrzej P. na wezwanie policji otworzył zamknięte drzwi. Był trzeźwy i umyty chociaż na podłodze widoczne były kałuże krwi. Dwoje dzieci na szczęście nic się nie stało. Również żonie życie zostało uratowane.

Nie znane są motywy czynu Andrzeja P., który targnął się na życie własnych dzieci chociaż je bardzo kochał. Co prawda przed 10 laty był leczony psychiatrycznie, ale od tego czasu jego postępowanie było nienaganne i cieszył się szacunkiem sąsiadów.

M.W.

R. Strzele

Ciekawostki historyczne

Sto lat temu w Lubaczówce żyły takie ryby jak: chwat, świnka, czerwinka, jazgor, jelec, jaź, karaś, kiełb, kozka, kleń, leszcz, lin, miętus, okoń, płocica, piskorz, parówka, pukas, szczupak, uklejka, węgorz.

☆

„Przyjacieli Ludu” z 1906 roku donosił: W Kadłubiskach chłop wystąpił w obronie łąki, przez którą parobcy dworscy przeprowadzili bezprawnie rów, został postrzelony przez leśniczego. Aresztowany został nie leśniczy, lecz poszkodowany włościan i jego brat, który stanął

**Kresowiak
Galicyjski**

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9
Redaguje zespół. Redaktor naczelny: Marian Ważyński.
Wydawca: Agencja Reklamowo-Marketingowa sp. z o.o., Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25. Korespondencje do redakcji można składać również pod adresem: Sklep Elektroniczny, Lubaczów, Rynek 27.
Skład, łamanie i druk: „Remark” sp. z o.o., Rzeszów, ul. Sikorskiego 49c, tel. 299-0311.